Nro 3.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 15 stycznia 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincii chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincii można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcii Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcia ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosii prenumerata składa się na pocztach.

MODY.

Z Paryża, dnia 2 stycznia 1847.

Tym razem damy naszym czytelnikom dokładny opis kilku strojów balowych. Suknia koronkowa z dwiema spodnicami a trzecią jedwabną, stanikiem wysoko zachodzącym, rękawkami bardzo krótkiemi i długą bertą, spiętą w środku bukietem; pierwsza spodnica jest krótka w kształcie tuniki i wycięta po bokach; druga spodnica jest okrągła i ubrana fontaziami z wstążek w wycięciu bocznem pierwszej spodnicy. Suknia z angielskiej koronki, stanik wysoko zachodzący powyżej ramion, berta koronkowa podwójna, spięta szpilką kamieniami wysadzaną. Spodnica ubrana dwoma falbanami szerokiemi, w kształcie girland, podpinanemi kwiatami z środkiem diamentowym; ubranie na głowie koronkowe, w sposób szarfy, przypiętej kwiatami stosownemi. Ubior młodej damy: Suknia tarlatanowa. stanik wysoko zachodzący, z podwójnemi wyłogami, spiętemi szpilką z antykiem; i z trzema spodnicami dzierganemi jedwabiem i haftowanemi w girlandy.

W ogóle mówiąc suknie balowe w tym roku są bardzu przystrojone i nad miarę w kwiaty ubrane; widzieliśmy także suknie balowe, których stan i rękawy ozdobione były drogiemi kamieniami. Rękawy zaczynają nosić dłuższe jak przeszłej zimy i podpinają gustownemi złotemi klamrami na boku.

Futra. Ostrzejsza zima rozpoczyna się u nas i wszystko przebiera się w futra; widzieliśmy już bardzo wiele futrzanych gustownych ubiorów; np. piękne palatynki w kształcie chusteczki, z kun, z gronostajów, z peruwiańskiego futerka chinchilla, chustki z różowego lub niebieskiego atłasu, obszywane łabędziami dla młodych dziewcząt; albo dla młodszych kobiet z szafirowego lub zielonego atłasu, podobnież obszywane łabędziami.

W bardzo eleganckim świecie noszą peleryny z gronostai w kształcie kardynałek; z przodu końce wiszą aż ku ziemi, z tyłu zaokrąglone sięgają poniżej pasa i wyglądają zgrabniej niż noszone w poza przeszłym roku peleryuy gronostajowe zupełnie okrągłe.

Rycina przedstawia: Stroj młodej mężatki i suknię od wyjścia z adamaszku fioletowego. Obiedwie suknie opisane były w przeszłym numerze.

Figura męska na rycinie wyobraża paletot, którego krój w przeszłym dołączony był numerze.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Chata księdza ruskiego, do której teraz przeniesiemy czytelników naszych, była jak za zwyczaj prawdziwą chatą, różniącą się z powierzchowności od drugich chat wiejskich murowanym kominem jeno, i porządniejszem nieco zagrodzeniem, przez które prowadziła na dziedziniec brama z daszkiem słomianym tak wielka, żeby zda się przez nią umknąć mogła i chata i mały sadek za nim, i owa waląca się w rogu stajenka, i ten w drugim rogu o płot oparty karmnik, wiecznem mruczeniem karmionego w nim wieprzaka głośny, a nawet i tych parę nieolbrzymich stogów zboża, sąsiadujących z przyczepioną i przylepioną do stajenki oborą, zkąd znowu rozchodził się częsty ryk dwoch skromnych krówek, tęsknem i pożądliwem spoglądających okiem ku nielitościwie odgrodzonym a srodze kuszącym stożkom siana i zboża. Wszedlszy zaś przez tę bramę olbrzymią, nigdy niezawartą zupełnie, bo w drzwiach bramo-

wych, pokąd pamięć ludzka zasięga, brakowało zawsze kilku desek, dwa główne przedmioty uderzały oczy na nierównym, ale zato w równej połowie gnojem i murawą pokrytym dziedzińcu. Byłato najprzód niedaleko furtki do sadu prowadzącej odwieczna kałuża, równie dawna jak cała zagroda, po której głośno i wesoło trzepotały się i poiły wszystkie pokolenia księżych kaczek i gęsi, a czasem w skwar słoneczny filozoficznie rozdumanych chłodziło się parę gnuśnych prosiaków. Do obrazu tej części zagrody dodać jeszcze potrzeba, że poza kałużą sterczały odbijające się w jej brudnem źwierciedle dwie stare grusze, stojące na granicy i straży księżego sadu, i wystająca z poza nich pokaleczoną przez czas dranicą pokryta dzwonnica, której częste a jękliwe głosy rozchodziły się po całej wsi zwykłą wieścią smutku, wesela i nabożeństwa. Drugim przedmiotem zawsze zdybywanym na tym księżym dziedzińcu było kilka kłód sękowatych drzewa, niedaleko karmnika złożonych, które daremnie porąbać się kuszono, i które już tak od mnogich lat pomnażającemi się co roku trzaskami otoczone pozostały nieruchome, ku wielkiej pociesze gadatliwych kurek i najgadatliwszego między niemi koguta z wielkim czubem, zasiadających tamże na dzienny odpoczynek i na nocne leże. Chata księża o czterech izbach skromnych, dla większej różnicy od swych sąsiadek pokryta była słomą wprawdzie, ale w glinie maczaną, co dachowi nadawało porządniejszą powierzchowność, i miała przylepiony u wchodu ganeczek dranicą pobity, w którym w dzień czy w nocy spoczywał kundel pstrokaty, częstem szczekaniem i częstszem jeszcze wyciem dowodzący swej niepospolitej czujności. Zresztą by dłuższym nie nudzić opisem, dodam jeno do obrazu tego chaty-dworka, że przypominał zupełnie owe stare dworki szlacheckie nasze, może tylko biedniejsze jeszcze nieco. Też same ściany lepione, i tenże sam piec polewany, jak w owym obrazku powracającego do rodzinnej chaty naszego poety Karpińskiego. I nigdzie może jak w chacie starego księdza ruskiego, nie zdybiesz tak wyraźnie odbitego typu swojskiego, typu prawdziwie rodzinnego, typu polskiego. Polskie obyczaje wszystkie, owe obyczaje dawne, obyczaje skromne przeszłości naszej, znajdziem żywcem w dworku księdza ruskiego. W jego dworku znajdziesz staroświecką gościnność, która cię znajomego przyjmie uczciwie i uraczy czem bóg dał, a i nieznajomego zaprosi szczerze; i podejmie gościnnie jakby brata, i postawi przed jednym i drugim wszystkie nasze stare potrawy, zacząwszy od poczciwego bigosu a skończywszy na smacznym schabie z śliwkami, i poda nasze własne rodzinne trunki, bo i wódeczka anyżkiem woniejąca, i miodek pieprzny, i piwo grzane. Ksiądz ruski inaczej nie zagada prócz mszy jeno po polsku; i czy do towarzysza księdza, czy do żony, córki, syna przemawia, nie użyje nigdy języka ruskiego. Ba nawet, co mi każdy przyzna, widziałem nieraz, jak poczciwy wieśniak przyszedłszy do swego księdza na poradę, skargę, lub w innej potrzebie, łamie swoję ruszczyznę na polską mowę, by był księdzu zrozumialszym. I więcej powiem, a także z doświadczenia, wszak ów księdzu każdemu nieodstępny towarzysz, posługacz kościelny, ów diak, który przecie wychodzi zwykle z prostego chłopa, wyuczy się pomału przy księdzu języka polskiego tak doskonale, że ledwie całkiem swojego rodzinnego narzecza nie zapomni. I niedosyć, że ksiądz ruski mówi zawsze po polsku jeno i obyczaje uczciwe nasze zachowuje święcie, ale pożyj tylko z nim dłużej a przekonasz się, że wszystkie jego wyobrażenia najwewnętrzniejsze, najprawdziwsze, te co w nieruchome już kształty odwieczne wylane są w duszy człowieka, nie te zaś, co wiatrem bóg wie zkąd w jednej chwili napędzone, druga odwieje chwila: wszystkie te wyobrażenia muszą być zaiste nasze własne, kiedy je sto razy na godzinę usłyszysz oddane naszemi przysłowiami wszystkiemi, których zbiór najkompletniejszy usłyszysz z ust księdza ruskiego. Literaturę polską chętnie czyta, jeżeli mu się jaka książka dostanie w rękę, i czytałby jeszcze chętniej, gdyby mu starczyło z jego nader szczupłych dochodów na kupienie książki, lub gdyby ci, co te książki mają po zamożniejszych dworach swoich, zachodzili częściej z mową, z myślą, z książką i zażyłością pod skromną strzechę poczciwego i ubogiego księdza. Niechby jeno taki dwór szlachecki właśnie dla tego, że ma się za coś wyższego, zrobił kilka kroków naprzód ze swej wysokości urojonej ku skromnemu dworkowi księżemu, a kroków szczerych, otwartych, przez się samego zrobionych, któreby nie zfałszowała podła zgraja zauszników pańskich, a wybiegłoby z onego dworku skromnego, takie poczciwe i serdeczne zaufanie, któreby się pałacowi sowicie odwdzięczyć mogło. Ale trudno żądać, by to zaufanie przyszło samopas, bo człowiek, choćby najlepszy, ma wady człowiecze, a człowiek biedny, kłopotami i nieraz nędzą codzienną znękany, jeżeli mu jeszcze duma możniejszego dopiecze, czyliż łatwo zaprze się natury ludzkiej? Ale głupoty naszej właściwość, jest ślepota wieczna!.... nie ślepota oczów, co nie widzą, ale ślepota oczów, które by nie widziały odwracają się pogardliwie!.... Jestto pycha! owa pycha szatanów, którym gdy łyskawice nic wyjaśnić nie zdołały przyszedł grom i w proch rozsypał!....

Owoż w dworku księdza ruskiego w Krzewińcach, do którego teraz dążymy, odbywała się w tej chwili scena mająca wielką styczność z tem, co dopiero powiedzieliśmy; scena traiczna na prawdę, a komiczna na pozor.

Ną środku izby głównej, wielkiej, o poprzecznych belkach na powale, izby tak skromnie przystrojonej, że największą jej ozdobą był zakopcony stary jakiś

obraz święty w kącie, a przed nim stół dębowy, przetartym kilimkiem pokryty, na to zda się, by był godny dźwigać pobrudzoną książkę do nabożeństwa i niegdyś w szczęśliwszych czasach posrebrzany krucyfix tombakowy; na środku więc tej izby stał sam ksiądz. Byłto wysoki, chudy, kościsty mężczyzna, silnej jeszcze i wiekiem niepochylonej budowy ciała, a czerstwej twarzy i dobitnych przez ciąg życia i cierpień w upor zaostrzonych rysów, które dobroć serca słodziła czasem uśmiechem koło ust, skurczonych czy przez długie bolu doświadczenie, czy przez napływ chwilowej cierpkości. A przecie starym być musi, miarkując po jego siwych włosach, niedbale wiszących wkoło głowy, na której dawna tonzura w szerokiej znikła łysinie. Cały typ jego twarzy był piękny, szlachetny, a nawet patriarchalny, lecz nie wyrazem dawnej patriarchalnej swobody, ale raczej odbiciem wszystkich tych całożyciowych cierpień dzisiejszego ojca rodziny.

We drzwiach drugiej izby, z której wychodziła woń kwiatów i wyglądały barwy onych rozmaite, stała w postawie na poły ciekawej, na poły zastraszonej, młoda dziewczyna z twarzą tak piękną i dorodną, że jej rysy regularne, w owal zaokrąglone, linie greckie nieco przypominające, a ożywione okiem pełnem, ciemnem ale jasno łyskającem, zdałyby się na jaki antyk prawdziwie grecki. Mianowicie teraz, gdy wracając z ogródka, głowę strojną w włosy ciemne, mające wraz z oczami połysk jakiś jasnawy, obsłoniła białą chustką pofałdowaną mimowolnie z tym wdziękiem, jaki młoda i ładna dziewica nadaje wszystkiemu co ją otacza lub ją dotyka. To była Marijka, wnuczka po córce starego księdza z Krzewiniec, a córka po księdzu także ruskim, który już nie żył. Sierotą była po ojcu i matce; a to sieroctwo było na jej twarzy wypisane, tym rysem cierpienia wewnętrznego, który uszlachetnia twarz, bo z szlachetnego uczucia pochodzi. Toteż Marijka, choć ubrana w kilkunastograjcarowy perkalik, u wędrującego Węgra kupiony, choćby może nie dygnęła w salonie tak po mistrzowsku, jak to umiała panna hrabianka Elżbieta w salonie krzewinieckim, choć nie gwarzyła po francusku, ani też waliła po mejerowsku w klawisze fortepianowe, gdyby tylko stanęła z tym urokiem świeżości i piękności na twarzy, a tym większym jeszcze wdziękiem, co się wyższym czucia i myśli promieniem przedzierał z duszy i oczów do twarzy, z tym rumieńcem prawdziwej, nieskażonej, dziewiczej wstydliwości, którę darmo w niektórych salonach małpują rużem i sztucznem naśladowaniem natury, przez nawyknienie nabytem; gdyby tak stanęła w jakimkolwiek salonie ludzi, co nie mają przesądów miasto głów, a dumy miasto serca — wydałaby się prawdziwą królową, bo miłości, poświęceń i uwielbienia godna. Bo jeżeli piękna była twarz, piękniejsze było jej serce poczciwe, otwarte na wszystkie uczucia uszlachetniające. A w tej pięknej główce roiły się także; nie chorowite, spazmatyczne myśli marzycielek, do teatralnych dekoracij podobne, myśli jakieś nieswojskie, bo po większej części z romansów cudzych czerpane, ale myśli zdrowe, czerstwe, jak nasze powietrze wiejskie, myśli pożyteczne, bo nie z góry z mgłów czerpane, ale z ziemi, z ziemi naszej, ze środka tej roli, na której się urodziła, i tych ludzi przy tej roli pracujących, między któremi wzrosła. Była ona dziewczyną z ludu, ze wszystkiemi cnotami jakie ten lud ma rzeczywiście i jakie mieć może przy lepszem wychowaniu. A jej wychowanie było doskonałe, bo się niem od dzieciństwa zajmował jej ojciec. Ojciec zaś jej był człowiekiem, rzecby można, wyjątkowym; byłto poeta duszą, uczony głową, w nieznośną prozę głupiego życia przez los wepchany. Co czuł lepszego, co myślał wyższego, to tylko w duszę córki rzucał spiesznie, bo czuł, że niedługa jego pielgrzymka po tej ziemi. Śmierć żony ubóstwianej przez niego, i połączone z nią odkrycie okropnej i smutnej niewiary, zniszczyły do reszty jego siły, znękane już i tak walką z potrzebami życia i z tą złośliwą pogardą, która go codzień szpilkowemi kłuła cierpieniami. Umarł niepoznany przez nikogo, nieżałowany przez nikogo, prócz przez chłopków, dla których miał ewangeliczną litość i ewangeliczne postępowanie. Był on księdzem w drugiej wiosce hrabiego Gniazdowskiego, który drwił z roztrzepanego i uczonego popa, chociaż romansiku się nie wstydził z śliczną jego żoną. Lecz gdy go romansik znudził, a wyrzuty dawnej kochanki obrażały, napisał do niej na cieniutkim i woniejącym papierze list, z tak haniebną bezwstydnością napisany, żeby się go powstydził najgburowatszy ulicznik. A że miał kilka butelek szampana w głowie, a kilku przyjacioł bezgłowych wkoło siebie, więc oddał ten list poufnemu służącemu z tym dodatkiem, może nawet nieprzypadkowym, „by go oddał samej popadi lub popowi.“ Służalec podobny panu, oddał ten list z szatańskim uśmiechem księdzu. I zabił jedno i drugie zacny hrabia, a Marijkę osierocił. Biedna sierota miała już wówczas lat trzynaście i dobrze rozpoczęte przez ojca wychowanie dokończyły książki, których zbiór niewielki ale dobrze dobrany odziedziczyła po ojcu. Pamięć ojca i jego nauk pozostała dla niej świętością, którę jeszcze w jej wyobrażeniu otaczała jakaś tajemnicza zasłona tej dla niej niezupełnie zrozumianej katastrofy ostatecznej, w której skutku oboje rodzice w jednym roku pomarli. Tyle tylko o tem wiedziała, że hrabia Gniazdowski należał do tej całej smutnej tajemnicy. Mimowolnie więc w środku jej innych uczuć słodkich ukrywało się uczucie gorżkie żalu, instynktowego raczej niżeli wyrozumowanego, do hrabiego Gniazdowskiego, a przez niego i do całej tej rodziny dumnej i nieprzystępnej. Wkoło tego uczucia gorzkiego zgromadzały się pomimowoli wszystkie, jakie tylko kiedykolwiek słyszała czy od matki, czy od

krewnych i odwidzających dziadka księży okolicznych zarzuty polskiej szlachcie czynione. I pomału wyrabiało się w głębi jej duszy uczucie cierpkie, rozszerzające się od hrabiego Gniazdowskiego na wszystkich innych członków tego stanu, od których i sama już nieraz w potocznych życia sprawach doznała niemało pogardy i lekceważenia. Wszakże nawet w kościele, w tym domie Boga, przed którym wszystkie stany jak i wszyscy ludzie równemi być powinny, nieraz ona dosłyszała, jak w hrabiowskiej ławce nibyto cicho ale głośno dosyć szeptano sobie różne drwiny z popa i popówny, z jej zamiłowania znanego w literaturze, z jej ubioru, chodu, giestów, a nawet z jej pobożności, której sędzią jeno bogu być wolno, i z jej nazwiska wymawianego w półgłośno z szyderczym przyciskiem. A prócz tego jakiemito ją obdarzano ukłonami drwiącemi, jakie rzucano spojrzenia złośliwe i pogardliwe. I bóg wie dla czego. Bo jużciż rozumiała to biedaczka dobrze, że niczem zasłużyć nie mogła na taki sposób obchodzenia; a miała tyle rozsądku i czucia, by ocenić należycie i swoje postępowanie nienaganne, i czyste swe chęci, i porównać one z całem postępowaniem rodziny Gniazdowskich względem wszystkich podwładnych, których krzywdzono bezkarnie i wyśmiewano niby dowcipnie, mianowicie zaś względem wieśniaków, których po dawnemu obdzierano, bito i obciążano gwoli wszystkich widzimisiów zbytnią robotą. Marijka kochała ten lud, była dlań siostrą i czuła wraz z nim wszystkie jego krzywdy, I jako dziewczyna ludu miała i jego usposobienia niektóre, konieczne, nieodłączne od tego stanowiska pokrzywdzonego. Tem usposobieniem była pochopność do nienawidzenia wyższych, do oddawania im pogardy za pogardę. Wprawdzie dla umysłu tak wzniosłego, jak był umysł Marijki, myśl zemsty nie była łatwa, ale zato gdyby za danym popędem raz się w niej rozbudziła, mogłaby ją zupełnie owładnąć.

I czytając, a rozumując nad czytanem, coraz więcej zbierało się w jej duszy tej goryczy. Bo ją wszędzie oburzala ta szczególna niesłuszność, obejmująca ten stan, z którego ona wyszła. A jako niewiasta, mimo całego ukształcenia, więcej uczuć jak rozumować zdolna, niezawsze umiała odróżnić szczegółowe złe od zasad ogólnych. Nieraz więc za złe pojedyncze potępiała w myśli zasady ogólne, i tym sposobem coraz więcej naginała się do tej przesądowej nienawiści. Miłość jej szczera do naszego bohatyra zmiękczyła nieco jej za ostro już odcieniowane zdania, bo kochając szczerze pana Kazimirza, szlachcica przecie z rodu, musiała mimowolnie pobłażać nieco całej szlachcie. Miłość jej dla Kazimirza była szczególna w swoim rodzaju; ona go kochała z zapałem prawdziwej kochanki, ale razem i z pewną powagą, jak gdyby matka syna. Bo mimowolnie czuła ona swoję nad nim wyższość umysłową i chciałaby onej użyć, by go przeobrazić, przekształcić. Onaby go w swoich marzeniach rada oczyścić z brudu wiekowym pyłem zapruszonych przesądów.

Znając jej usposobienie, łatwo pojąć można, jakiem okiem widziała Marijka te choć nieczęste, ale wedle niej niegodne zawsze kochanka nadskakiwanie rodzinie Gniazdowskich, i gdyby nie mimowolna, niewieście właściwa bojaźń stracenia kochanka, którego więcej kochała, niż sama się przyznać chciała, byłaby ona dawno już mu podała za konieczny warunek dostania jej ręki, wyrzeczenie się wszelkich stosunków z dumnym i nienawistnym rodem Gniazdowskich. Warunek ten był w jej duszy niecofniony, ale wahała się przez słabość niewiasty i kochanki, wyrazić go raz stanowczo.

W tej chwili weszła właśnie Marijka z sadu do swojego pokoju, i słysząc żywą rozmowę w izbie pierwszej, chciała wejść do niej; lecz przy pierwszych zaraz słowach stanęła jak wryta i niewidziana od dziadka i tego, z którym stary ksiądz rozmawiał, słuchała z uwagą i natężeniem. Przy wejściu już do pokoju dziwny wyraz jakiś odbijał się na jej pięknej twarzy. Byłto wyraz oburzenia, gniewu i dumy wyższej, szlachetniejszej, który strzelając z oczów łyskających, rozpromieniał jej twarz i postawę całą jakąś wyższością i powagą, godną, żebym się tak wyraził obszerniejszej sceny i większej widowni.

W czasie słyszanej rozmowy wyraz ten wzmagał się, odcieniowywał się coraz wyraźniej, olbrzymiał i rósł w jakieś wielkie, niezłomne postanowienie.

Naprzeciw księdza stała postać, jużciż ludzka, ale nadzwyczaj dziwna. Stanowiła ona część komiczną tej sceny i tego obrazu. Chude to było, nędzne, blade, kościami wychudzonemi sterczące stworzenie, z twarzą, na której były zmarszczki wieku, a była gładkość bezwłosa, jakby dzieciucha. Głowa była już łysawa i siwawa, a w oczach zato wyraz szczególnego dziecińśtwa umysłowego, któremu wtórował głos cieniutki, spiewający, nieco nosowy a nieco piskliwy, wychodzący z chudych i wklęśniętych piersi. Całą tę postać anomalną, chorowitą i niewykończoną zda się przez przyrodę utrzymywały nogi, snać także tylko co przez przyrodę rozpoczęte, a zostawione nagle w chaotycznym stanie jakiegoś wężowego wykrzywienia. Obie nogi były dwakroć do siebie i od siebie zgięte. I całą tę postać obwiewała suknia niby z chłopska, niby z szlachecka, nito surdut, nito kapota, ale zato długa po podłogę prawie, z stanem nisko nadzwyczaj, gdzieś aż koło kolan prawie spadającym, a tak doskonale szeroka, jakby ją biedny niedorostek pożyczył od jakiego bajecznego olbrzyma. I snać się kochał w takich niestosownościach, trzymał bowiem w ręce żylastej, długiej, spory kawał nie kija, ale całego drzewa prawie. Do całości obrazu dodać potrzeba jeszcze nadzwyczajną ruchliwość tej postaci, dziwnie niestosowną do jego schorowanej i nędznej osoby. Byłto zaś diak, Jurko zwany, i jako

durny Jurko znany w okolicy, wyśmiewany nieraz, ale lubiony powszechnie za swoją usłużność szczególną, co jednakże nie wykluczało zupełnie pewnego rodzaju bojaźliwego szacunku, jaki miano dla niego z powodu zawziętego charakteru. Jurko bowiem był przyjacielem i nieprzyjacielem aż do grobowej deski.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

NIEMOC.

Bezsenny jestem, głowa ciężeje,
Krzyżową przebyłem drogę;
Chciałbym zapomnieć okropne dzieje,
Chciałbym — a zasnąć nie mogę.

Przyszła staruszka, matki mej matka,
Rozwiała swe włosy siwe,
„O dziecię moje, młode masz latka,
Czemuż nie jesteś szczęśliwe?“

„O matko! dziecię twoje cierpiące
Nie może zasnąć głęboko,
Aż wydrze z łona serce bolejące
I jakieś drugie tam oko.“

Kornel Ujejski.

Wiadomość o powieściarce francuskiej pani George Sand.

przez

Henryka Sucheckiego.

(Ciąg dalszy.)

III. OKRES.

Przejrzawszy pobieżno dwa pani G. S, stanowiska, gdzie raz uczuciowości lotem się wzbija, to znowu w poziomość zlatuje, przechodzimy do trzeciego autorstwa jej okresu, w którym rzuca się w odmęt towarzyskich i społeczeńskich (politycznych) i religijnych wyobrażeń, które tu całą jej ogarnęły i zajęły istotę; miłość bliźniego przemaga nad miłością siebie samej, sprawa społeczna nad czuciem osobistem; względom ludzkości ustępuje namiętność. Spirydion, Siedm strun lutni, Towarzysze podróży po Francii, Horacy, Consuelo, Grzech p. Antoniego, napisała G. S. w tym okresie. Spiridion będąc uobrażeniem ludzkości przechodzącej koleją rozmaitych wyznań filozoficznych i religijnych, jest jeszcze tylko przeczeniem, a zwiastunem bliskiej wiary promienistszej, niż dogmata nabyte; takie bowiem światło wytrysnąć ma dopiero w następującym, ostatnim okresie. A gdy żaden okres nie może być tak ściśle nacechowany, aby nie nosił jeszcze zabytków tego, który z widowni ustąpił, albo też nie błyskał już naprzód płomykami, które poźniej dopiero w pożar rozniecić się mają; więc widać, że Siedm strun lutni i Gabriel są jeszcze ćwiczeniami poetycznemi, gdzie myśl gubi się w eterze. Zwolna rozstępują się obłoki w Towarzyszach podróży po Francii, w Horacym i Konzuelu, aż nakoniec Grzech p. Antoniego, wyjawia już wyraźnie komunizm i oznacza go za jedyną kładkę zbawienia dla towarzystwa, społeczeństw i dla przyszłości religii.

Lecz ani rozumowania nad prawdami, ani umiejętne ocenienie wartości zasad, jakiemi się p. G. S. napoiła, nie leżą w zakresie uwag niniejszych.

Francuscy i niemieccy recenzenci dziwią się, dla czego właśnie w chwili, kiedy p. G. S. porzuca cieniowanie namiętnych uczuć, aby według zasad filozofów dzisiejszych do rzeczywistości przegadać, kiedy wyobrażenia swego czasu usiłuje w swe książki przelać, dla czego, mówią, właśnie wtedy pisma jej najmniej mają ludzkiej prawdy, istotnej rzeczywistości? Bo unosi się jeszcze po obszarach, które niebawem porzuci. Szczegółowo zdanie to wyjaśnia jej Piotr i Iseult: chociażbyto nie były szczere wyobraźni utwory, bo takie typy może wyjątkowo się na świecie pojawiają, lecz tak je zidealizowała autorka, że tracą podobieństwo ludzkie. Ich namiętności, ich uczucia nie są nasze. Powieści zaś rycerskie nie są już dziś romantyczne. Z takiego powieści przeistoczenia zaiste zyskać może co komunizm, powieść na nim pewnie traci. Nacoż w rycerza przeobrażać wyrobnika, którego powołaniem dobrowolnie obranem jest w normalnym rzeczy stanie życie spokojne, zarobkowe. Do osądu utworów pani G. S. należałyby jeszcze uwagi nad korzyściami lub uszczerbkami, jakie z jej powieści na ludzkość spłynęły. Jeniusz jest światłem niebieskiem, od Boga w serce wybrańca wlanem. Kto taki dar nieba w udział bierze, czynem winien usprawiedliwić użycie jego. Ludzkość zapytać go może: cożeś uczynił z pochodnią bożą? Lecz nie tu miejsce zastanawiać się nad tem; my zwracamy się do osądzenia estetycznej strony.

W tym okresie w wartości ujmuje pismom p. G.S. wiele ta okoliczność, że przestała być samotwórczą; kreśląc bowiem pojęcia społeczeńskie i religijne nowego czasu, nie stwarza samowładnie, jak w pierwszych okresach, ale się napawa obcem kobiecej swej duszy przekonaniem radykalnych dziennikarzy mowców i autorów francuskich. Pod takimto wpływem pisząc pani G. S. zwolenniczką jest samodzielnego ludowładztwa. Wyznaniem jej rzeczpospolita, czy to według dziennika National marsowa, czy według Michała de Bourges rzecznicza. Zasilona następnie wyobrażeniami sęsymonizmu i furieryzmu, pojmowaniem rzeczy Lamenego i Piotra Leroux o religii przyszłości, poźniej zaś myślami Ludwika Blanc, jakoteż nowohegliańskiej szkoły, obok wyznania

komunistycznego, jawnie zdradza różnorodne wrażenia i wpływy. W takiem usposobieniu pani George Sand w młodzieży tylko upatruje samodzielne pomysły i jenialny zachwyt, a niezrównany zapał onejże jest jedyną dźwignią pożądanego od niej stanu odrodzenia tak społeczeństwa jak wiary. A gdy się w politykę zapuści, wrodzony jej popęd dowodzeń wieszczych, łatwo w spaczenia przechodzi. Co do religii przyszłości, której zwiastunką być pragnie pani G. S. w pismach swoich, sąto nieprzebrzmiałe jeszcze myśli Jana Jakuba Rusa o bóstwie, w nowych czasach Lamenego i Piotra Leroux, który silnem piórem połączyć chciał komunizm z panteizmem.

(Dokończenie nastąpi.)

Krytyka niepisarzów.

Od jednego z naszych poetów, przyjaciela systemu dodatniego, słyszeliśmy często wyrzut, że jak niegdyś w rzeczypospolitej, tak i teraz główną naszą chorobą i wadą jest negacia, chętka przeczenia a wstręt od potakiwania, jednem słowem starodawne niepozwalam, z czego krytyki, satyry i wszelkie złe w świecie się rodzi. Otoż przekonujem się teraz na sobie samych o słuszności tego zarzutu, gdyż niezadowoleni krytykowaniem tych co piszą, chcemy tu jeszcze krytykować tych co nie piszą.

Wszak u nas oddawna tyle autorów niepiszących, tyle arcydzieł nienapisanych! Ileżto naprzykład sławy autorskiej i pomników nieśmiertelności samo towarzystwo przyjacioł nauk z członkami swoimi na wieki do grobu schowało! Dziś ledwie nie gorzej; bo dziś mnogie, od lat wielu sławione i oczekiwane arcydzieła jeszcze za życia autorów naraz bez śladu w grób zapomnienia wstępują. A ileżto dopiero niesławionych i nieoczekiwanych dzieł, artystów, poetów, tych, jak Byron twierdzi, „największych, o których ludzie nigdy nie zasłyszeli, poetów,“ codziennie bez wieści z powierzchni literatury znika, zostawiwszy po sobie tylko smutne w pewnem szczupłem gronie przyjacioł przekonanie, że te ziarna, z których poźniej powszedni zarobkiewicze się wyklóli, miały wystrzelić kwiatem, że te pstre gąsieniczki, które miały wzlecić rojem motyli, rozwinęły się poźniej w ćmy.

Zaprawdę, słowa szlachetnego piewcy „Ideałów“: „Jak pięknym był nasz świat w zawiązku! Jak licho pączek się rozwinął!“ jeźli do kogo, tedy do nas, do całego narodu, zastosować się dadzą. W rannych dniach życia, przed trzystą, czterystą laty, prześcignął naród resztę Europy w ukształceniu politycznem, przodkował całej północnej stronie oświatą, zapowiadał dziwy w czasie dojrzenia — a z tego pączka jakież dziś głogi wyrosły! Toż samo i w pojedynczych indiwiduach ujrzysz; za młodu rozkwitająca obietnica, w żniwo jałowe z nich ulęgałki.

Jakże często w salonowym tłumie, przy zielonym stoliku, lub w miasteczku w czas jarmarku na woły lub konie, zdarza ci się spotkać człowieka, z którym kilka godzin, dni kilka spędzisz wprawdzie przyjemnie, lecz bez dostrzeżenia najmniejszej między nim a całem powszedniem towarzystwem różnicy, bez poczucia najsłabszej iskry elektryczności, jaką się odznacza ogień własnego w piersiach natchnienia od piecowego ogrzania nabytej dla mody nie dla siebie ogłady umysłowej. Dopiero zeszedłszy się z kimś trzecim, dowiadujesz się, że ów kaustyczny żartowniś, w kole młodszych od siebie pań szydzący dowcipnie z całej poezii życia, jestto ten sam, po którym w jednej i drugiej księdze pamiątek, w jednym i drugim dawnym dzienniku zostały uronione zamłodu piórka poetyczne, na jakich można było wzbić się swobodnie w górę, zamiast siedzenia w dzisiejszem błocie cynicznem — dowiesz się, że owa rubaszna wyrocznia jarmarczna jestto dawien druh owego pięknego zawiązku literackiego, który jak nam Bielowski w życiu Józefa Borkowskiego opowiada, rozwijał się przed dwudziestą laty we Lwowie, a z którego iluż nie sprzeniewierzyło się zacnej myśli młodości? — dowiesz się, że ów podstarzały, ponury partner wistowy strawił rzeczywiście lat wiele nad chlubną pracą pisarską, lecz nagłym kaprysem znarowiony, porzucił tak długo uprawianą i już dościgającą plonem rolę, i bez pewnego moralnego celu i domu, tego najmilszego przytulku, tuła się włóczęgą umysłowym po świecie.

Zarzut, jaki na podobnych ludziach cięży, jest tem większy, iż oni, ulegając koniecznym wynikłościom wszelkiego przeniewierzenia się swojej naturze, wszelkiej zdrady, stają się poniewolnie przeciwnikami swych dawnych uczciwych chęci, przedrzeźnieniem własnej natury, tem szkodliwszymi im bardziej uzdolnionymi i dowcipnymi szydercami prawej acz sztywnej wytrwałości, jadowitemi własnego pnia jemiołami, zatruwającemi swym oziewem całą sąsiednią atmosferę moralną.

Uśmiechnie się zapewne niejeden, czytając te nasze wyrzekania przeciwko winowajcom, których przewiny on wcale nie pojmuje. Ależ właśnie to złe bywa najgorszem i najzgubniejszem, na którem ludzie nie spostrzegają się, a które przeto nieskarcone tajemnie żywot paraliżuje i niszczy. Dla nas zaś wszelka obojętność względem literatury za istotną przewinę poczytywać się winna. Bo jeźli komu, tedy nam myśl jest życiem, a słowo ciałem. I jak pod prawem wojennem surową odpowiedzialność na siebie ściąga, co w czasie pokoju uchodzi, tak co gdzieindziej błahą jest rzeczą, to u nas, przy tak skąpo rozwiniętej literaturze jest winą.

W takim też duchu obowiązkowego rygoru i karności, wynurzywszy swą ansę przeciw zbiegostwu litera-

ckiemu starszych kolegów, żądamy po rówieśnikach i młodszych dotrwania pod chorągwią, niezmordowanej pracy, „ku spólnej, uczciwej sławie.“

A ilużto ich siedzi gnuśno na swej placówce lite rackiej, nie patrząc broni, a oglądając się za postronnem dogodniejszem „położeniem“ towarzyskiem, za wszelką igraszką na uboczy! Owo np. Wł. Z. czemu dozwala zasychać pióru. A pan Pias..., autor chwalonego dramatu „Włoszka na Zygmuntowskim dworze“, który już do przedstawienia przygotowany, uszedł przypadkiem naszej ciekawości, nie wynagrodzisz sprawionego zawodu? A panaż Wr.... nie stać już na dalszy ciąg tak śmiało, owszem z tak silnem zobowiązaniem się do wytrwania w dziele rospoczętego „Wielkiego obrazu historycznego“? A pan Ab...., niegdyś jeden z najznakomitszych adeptów chemii w Wiedniu, i o tyle bardziej obchodzący nas wówczas, o ile nowszą była i jest nam umiejętność, którą nam miał objawić, zawiódłże nas na zawsze?

Moglibyśmy tu jeszcze tylu innych powołać! Ale odniosłożby to skutek pożądany? Więcej może odpowie celowi zastanowienie się nad przyczyną tego gęstego u nas odszczepieństwa literackiego. Otoż zdawałoby się, że podobne przedwczesne zaumarcie duchowe jest tylko skutkiem zbyt małego zasobu rzeczywistych zdolności, które gdyby w dostatecznej istniały potędze, musiałyby koniecznie wywrzeć się w odpowiednich pojawach, czynach, dziełach. Wszakże nie jestto główną przyczyną. W zdolności wyposażyła nas natura daleko hojniej, niż na to użyciem tych zdolności zasługujemy. Można śmiało twierdzić, że każdy z owych jarmarcznych znawców pośladków wolich i nóg końskich, każdy z owych kombinatorów konstelacij wistowych, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności mógłby zostać najzawołańszym literatem, która sława zresztą bez tego zbiegu okoliczności, bynajmniej go teraz nie nęci. Zdaje się owszem, że właśnie dla tego tak mało przeważnych indywidualnych potęg duchowych mamy, ponieważ zdolności u nas zbyt szeroko na ogół, a przecie bez dość obfitego skoncentrowania w szczegółach, są rozlane. Dodajmy sobie jednak w ogóle takowego skupienia, hartu umysłowego, uzbrojmy się każdy z osobna w większą wytrwałość i pracowitość, a pozbądźmy się temsamem zgubnego rozpierzchania się w tysiączne pomysły i projekta, jednem słowem nabierzmy charakteru, a nasza wygrana! I tegoż właśnie charakteru nie zdolności brak sprawia, że przy tylu uzdolnionych ochotnikach tak mało rzeczywistych, u nas powołańców literatury. Jak też nawzajem głównie tęż zasługę charakteru mają ci wszyscy, którzy dotrzymują wiernie ślubu literaturze, odwdzięczającej się najczęściej tak niedbale swym szczerym hołdownikom.

Podwójnie więc ma u nas każdy pojaw literacki wagę czynu; raz, ponieważ nam przedewszystkiem, jak powiedziano, myśl jest życiem a słowo ciałem; powtóre, żę u nas każdy czyn literacki jest zwyczajnie tylko potężniejszego charakteru dowodem.

Sądzimy że takowe orzeczenie czynności literackiej tem głębiej naszym zwątpionym kolegom sumienie skruszy. Gdyż jeżli nie jest grzechem, nie mieć usposobienia literackiego, tedy zarzut braku charakteru wymaga niezwłocznej refutacii — bogdaj artykułem do dziennika.

TEATR.

W ostatnich latach kilku spostrzegamy, jak przed naszemi oczyma literatura wszystkich narodów, a osobliwie francuska, nowy kierunek przybiera. Narody wszystkie dążą obecnie do wyrobienia i ustalenia nowego porządku społecznego; owoż i literatura ku temu zawodowi się zwróciła. Wykazuje ona rany społeczne i wskazuje środki zaradcze. Odkrywa krzywdy klas całkowitych i podaje sposoby usunięcia ich. Dowodzi zgubności zasad tradycionalnych w dzisiejszych stosunkach i wyrobić się stara zasady, mające w przyszłości wejść w życie narodów. Słowem dąży do przeobrażenia społeczności.

Nieraz słyszyć się dają sądy i narzekania najdziwaczniejsze na dzisiejszy kierunek literatury, osobliwie powieściowej i dramatycznej. Pochodzą te skargi najczęściej z niezrozumienia celów tej literatury. Często nawet powtarzają je ludzie, którzy się za sprzyjających postępowi uważają. Każą pisarzom w powieści lub dramacie przedstawiać porządek dziejowy, w którymby każdej zasady strona dodatna i ujemna zarówno wyświecona była. Tymczasem trudno tam wyprowadzać i idealizować porządek dziejowy, gdzie rany społeczne przechodzą w gangrenę. Pierwej trzeba gangrenę uleczyć czy wypiec, zdrowie wrócić społeczności, bo tylko śród zdrowej społeczności ustala się porządek dziejowy. A literatura dzisiejsza wszystkich narodów tak spojona jest ściśle z życiem, że wszędzie przechodzi w anomalność, gdzie tylko potrzeb tego życia nie zaspakaja.

Skoro zaś chodzi o wyrobienie społecznego porządku, więc wprowadzana być musi do literatury odbywająca się w życiu walka zasady przeciw zasadzie. Osobliwie tą prawdą przejęci są pisarze francuscy, nadający dzisiaj ten wyłączny kierunek swej literaturze.

Te uwagi nasunęły nam się z powodu przedstawionej na tutejszej scenie polskiej dramatu „Szmaciarz paryski“ (*Chiffonier*) napisanego przez Felixa Pyata, należącego do tej właśnie szkoły pisarzów. W dramacie tym znachodzimy stosunki i charaktery miejscowe paryskie. Rzemiosło bohatyra i jego postępowanie jest wyłącznie francuskie. Celem dramatu jest wykazać, że

bogactwu niezawsze towarzyszy cnota, że często pod pakłakiem bije uczciwsze serce, niż pod suknią książęcą. Pisarz francuski daje nam nadzwyczajnie trafny, a przytem rozrzewniający obraz francuskiego proletariatu; a przecież ustawia ten obraz w łagodnem świetle bez wszelkich odrażających przydatków. Na największe zaś pochwały zasługuje ta okoliczność, iz nam rany tego proletariatu nie wyobraża pochodzące z fizycznej nędzy, lecz jako wypływ moralnego osamotnienia umysłu. Nie brak pomieszkania wygodnego, bo licha pod strychem izdebka jest dla nich dość wygodna, nie brak zdrowego pożywienia lub ubioru, jest źródłem ich nieszczęścia; oni doznają cierpień serca, bo tej najbiedniejszej klasie nie wolno iść za najświętszem uczuciem ludzkiem, miłością, nie wolno tego uczucia zaspokoić. Ta boleść jeet najokropniejsza. Bohatyr tego dramatu, szmaciarz, czyli trudniący się zbieraniem po nocach śród kloak gałganów rozmaitych, wykluczony z towarzystwa ludzkiego, przeznaczony do prowadzenia życia nędzniejszego niż źwierzęce, boć i źwierzę może używać powietrza zdrowego i światła dziennego, a on starzec nie widział od młodości drzewa zielonego, musząc po nocach jedynie wydobywać z błocka środki utrzymania siebie, bohatyrowi naszemu nie wolno nawet kochać. Ubogi nie powinien mieć rodziny. Tę okropną prawdę w dziwnie dotykalnych i zrozumiałych obrazach pisarz nam przedstawia. Ubogi niema środków wychowania dzieci, wychowania jako ludzi na ludzi. Chybaby biedny ojciec zdecydował się puścić dzieci samopas, na wolę bożą, lub podrzucić komu. A jednak nie wygasa w nim boska iskra miłości, przecie zwycięża lepsza ludzka natura i nie daje w takim człowieku rozbudzić się dzikiej nienawiści do towarzystwa, które go odtrąca. Jak tonący lada najkruchszego nasuwającego się mu przedmiotu, tak bohatyr nasz ginący już w kałuży pijaństwa, tej koniecznej niejako wynikłości osamotnienia umysłu u ludzi prostych, wytęża resztki swej siły, aby przywiązać się miłością ojca do dziewczyny, tym sposobem wycofać się jeszcze z namiętności, którym się poddawać już zupełnie zaczął, i nabrać odwagi, postanowienia do biednego i na dal życia. Jakoż istotnie staje się to zbawieniem dla niego.

Oto jest wzniosła, poetyczna strona tego dramatu, i z tego powodu autorowi francuskiemu talent prawdziwy przyznać potrzeba. Jeden tylko walny zarzut zrobićby mu można. Rezultatem dramatu powinno być pojednanie, zagodzenie namiętności, a pisarz francuski wykazując rany społeczne, namiętności podburzył, lecz ich nie zażegnał napowrót, nie załagodził. Bohatyr wprawdzie przez przypadek zwyciężył, ale sprawa, której był reprezentantem, na tem nic nie zyskała. Pisarz powinien być sternikiem ludu, ale nie podburzycielem, który rozbudziwszy uspione namiętności, zostawia go potem na placu, bez rady, bez pomocy, w dzikiej rospaczy. Nacoż zdało się wykrywać w stanach wyższych wszelkie zbrodnie, a w klasie pracującej wszelkie cnoty, jeżli ztąd sprawa ani tej ani tamtej klasy żadnej korzyści nie odnosi. W tej sztuce pisarz francuski wykazał w jednej klasie wszelkie zbrodnie od mordu aż do gwałtu, w drugiej skreślił najwyższą cnotę, która śmierć przenosi nad życie w nędzy, lecz jeżli tem życiem można przecie jakąkolwiek pomoc nieść, wtedy i życie w najokropniejszej nędzy poczytywa za święty obowiązek. Bogacz usuwa własne dziecię, które jego dnmnym zamysłom stoi na przeszkodzie; biedak idąc za wrodzonem popędem miłości, ostatniego kęsu chleba sobie odmawia, jedynie aby obce dziecię ratować. Jeden tylko ze stanów wyższych nie zagrzązł w tej kałuży zbrodni, a i tego jedynie uszlachetniła miłość do ubogiej dziewczyny.

Dajmy nato, że istotnie stany wyższe są tak zdegenerowane, jak je Pyat wyobraża, jakąż pociechę, jakąż przyszłość wyprowadza ztąd dla klasy pracującej? Żadnej — on zostawia ją w rospaczy. W dzisiejszym społecznym dramacie lub powieści powinniśmy widzić powstający nowy porządek społeczny, jaki w kilku, w kilkunastu głowach myślących się wyrabia. W dramacie Pyata równie jak i w nowszych powieściach polskich tejżesamej dążności, biedni umieją jedynie kochać, cierpieć i skarzyć się. Rzadko kiedy myślą o przyczynie swego nieszczęścia, tem mniej o środkach zaradczych. Jeszcze raz powtórzę, że osoby często odnoszą zwycięstwo, ale sprawa pozostaje w tymżesamym co dawniej stanie. A przecie jedynie zwyciężająca sprawa może usprawiedliwić pisarza z tego wyobrażania jednych w złem wyłącznie, drugich w dobrem świetle. Bo gdzie się toczy walka o zasady, tam może być w celach pisarza nie przyznawać wyznawcom innej myśli w niczem prawdy i słuszności. Wyobrażenie jednego w świetle jasnem, byłobyto już przyznanie słuszności zasadzie, a jedynie niesłuszności nadużyciom zasady. Niechże pamiętają o tem i pisarze nasi, którzy wstępować poczynają w ten zawód dążności społecznych i nie podburzają daremnie namiętności klas niższych, niech starają się wszędzie pojednać, pogodzić je, a nie przywodzą do rospaczy. A uczynią to pojednanie wtedy, gdy sprawie której pomódz chcą wszędzie w swych powieściach i dramatach zapewnią zwycięstwo, ukażą przyszłość piękniejszą.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.